ROK TRZECI.

—

№ 20.

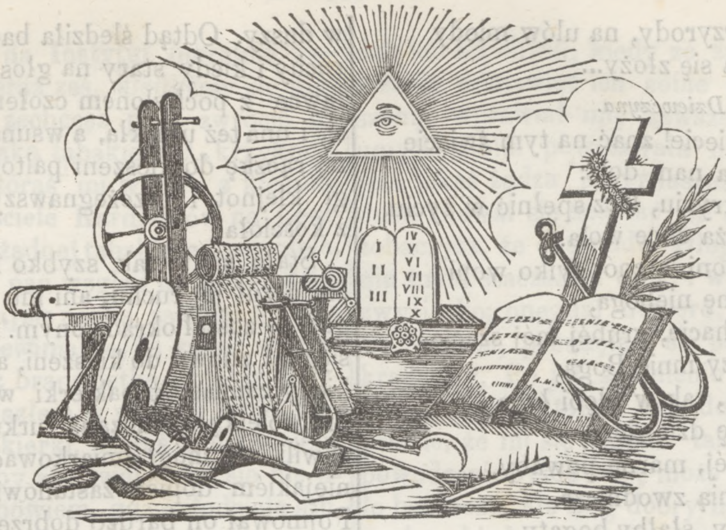
Warszawa

Dnia 4 (16) maja

1858.

Niedziela

między Oktawą Wniebowstąpienia.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmocny a wieczny Boże! spraw, iżbyśmy zawsze a chętnie wypełniali świętą wolę Twoję i Majestatowi Twemu szczerem sercem służyli. (Kollekta na Niedzielę między oktawą Wniebowstąpienia).

Fijołek.

PIOSENKA PRZY ZASIEWIE OGRODÓW.

—

Dziewczyna.

Puszczają drzewa, skowronek śpiewa,
Wesoło w moim tym sadku!
Z trawki zielonéj, z pączka zasłony
Wychyl się, wychyl już kwiatku!
Bo choć ukryty, lic aksamity
W zaciszę schowasz tajemną,
Gdy wietrzyk wionie, słodkie twe wonie
Wnet cię wydadzą przede mną.
Wtedy niebożę! nic nie pomoże
Trawka, co w górę się wspina:
Zdradą piosenki lube twe wdzięki
Rozgłosi światu dziewczyna.
Aż rój motyli, w pogodnéj chwili
Miłosnym tłumem się zleci,
I barw migotem, w słoneczku złotem
Na wonnem łonie zaświeci.

Fijołek.

Puszczają drzewa, skowronek śpiewa,
Wesoło w sadku na wiosnę!
W trawce zielonéj, wśród drzew uchrony
Kwitnę ja sobie i rosnę.
Lecz choć ukryty, niebios błękity
Widzę nad sobą wysoko,
Rosa mnie poi, w niskości mojéj
Słońca dojrzało mnie oko;
I codzień rano zorzą różaną
Swoje przysyła mi blaski,
Lic moich barwy, woni méj skarby
Z jego to, z jego mam łaski.
W dani więc temu Panu górnemu
Balsamy piersi méj ronię!
Lekko niech płyną światła dziedziną,
Gdzie wszystkie winne iść wonie;
Lecz próżno cudnie w żarów południe
Motyli krasaby błysła,
Pszczoła kochanka w ciszy poranka
Już na mym kwiecie zawisła.
Ona to, ona, u mego łona
Drżała lękliwa i cicha,
Aż tajemniczy nektar słodyczy
Z złotego spiła kielicha.
Teraz ulata, plonem bogata,
A kwiat mój wdzięcznie się korzy;

W skarbcu przyrody, na ulów miody
I jego cząstka się złoży...

Dziewczyna.

Wiosenny kwiecie! znać na tym świecie
Jedna sądzona nam dola:
Kwitnąć w ukryciu, lecz spełnić w życiu,
Co od nas Boża chce wola.
Jak ty w ustroni, z cnót tylko woni
Niechaj zasłynę nieboga,
A w niskiéj chacie, grubéj méj szacie
Łaska dopatrzy mnie Boga;
Nią oświecona, tak w głębi łona
Serce ukrzepię dziewicze,
Że nigdy słabéj, marne powaby,
Blaski nie olśnią zwodnicze.
I próżno swaty słałby bogaty,
Gdy same zdobi go złoto;
Inszy mój luby, do droższej chluby
Z świętą podąża ochotą.
Lecz gdy poczciwie na ojców niwie
Zagon użyznia swym znojem,
Któż go w złéj chwili mężnie posili
Słodkim nadziei pokojem,
Kto w ojców wierze pierś mu ostrzeże,
Czystą miłością ogrzeje,
Aż w niéj powoli, jak w dobréj roli
Ziarno słów Bożych dojrzeje?
Ja, co w ustroni, z cnót tylko woni
W cichéj zasłynę pokorze,
I jak ty kwiecie! cząstkę mą przecie
Do bratnich zbiorów przyłożę.

Złe się nie utai.

—

W kościele Karmelitów na Lesznie (w Warszawie) siedział w ławce podeszły już jegomość, z okularami na nosie, modląc się z dużéj książki, którą trzymał przed sobą. Od czasu do czasu dobywał on z dolnej kieszeni paltota, bogatą złotą tabakierę, racząc nos swój zawartym w niéj wonnym proszkiem, poczem wkładał ją napowrót do kieszeni. W tejże ławce, obok owego jegomości siedziała młoda osoba, bardzo porządnie, a nawet strojnie ubrana, także z książką w ręku; ale oczy jéj więcéj po zgromadzonych niż w książkę patrzyły, a kiedy spojrzała z kolei na swego sąsiada, w chwili gdy ten zażywał tabakę, oczy jéj zabłysły na widok kosztownego cacka i myśl grzeszna powstała w duszy. Odtąd śledziła bacznie wszystkie jego ruchy i kiedy stary na głos dzwonka ukląkł w ławce z pochylonem czołem, bijąc się w piersi, i ona też uklękła, a wsunąwszy zręcznie drobną rączkę do kieszeni paltota, pochwyciła drogi klejnot i przeżegnawszy się, wyszła wnet z kościoła.

Stało się to tak szybko i zręcznie, że stary ani uczuł jéj ruchu, ani mu w myśli postać mogło, że został okradzionym. Po niejakim czasie sięgnął znowu do kieszeni, ale jakże się zdziwił, kiedy zamiast tabakierki wydobył z niéj złotą bransoletkę wysadzaną turkusami. W pierwszéj chwili nie mógł zmiarkować, co się to stało, po niejakiém dopiero zastanowieniu odgadł prawdę. Pojmował on bardzo dobrze, iż niezwyczajna ta zamiana nie stała się cudem, i że bransoletka uronioną być musiała przy sięgnięciu ręką po tabakierkę. Rozjątrzony nietyle poniesioną stratą, ile że kradzież podobna spełnioną została w przybytku Pańskim w czasie Mszy Świętéj, radby był wynaleść sprawczynię, aby oddać ją po ukaranie. Ale gdzie jéj szukać?... Zatopiony w modlitwie, nie zwrócił nawet uwagi na rysy i ubiór siedzącéj przy nim kobiety. Kiedy się tak biedzi przez dni parę, nie mogąc nic stosownego wymyślić, Opatrzność sama podaje mu środek do ręki. Czytając po obiedzie kuryerka, natrafia na ogłoszenie téj treści: Onegdaj w przechodzie przez ulicę Senatorską, Rymarską i Leszno, zgubioną została bransoletka złota, wysadzana turkusami. Sumienny znalazca raczy oddać takową pod ner *, za nagrodą rs. 5.

Ogłoszenie to jest dla niego promieniem światła, porównywa bransoletkę z opisem i nabiera przekonania, że ogłoszenie jéj właśnie dotycze. Nie tracąc czasu, udaje się pod wspomniony numer i przedstawia jako znalazca. Poszkodowana przyjmuje go z uprzejmością, okazaną bransoletkę przyznaje za swoję i wydobywszy z toaletki papierek pięcio-rublowy, waha się, co ma zrobić: czy ofiarować go za znaleźne stosownie do ogłoszenia, czy nie?.. bo znowu boi się tem znalazcę obrazić. Widząc wszakże, że ten usiadł w krześle i zdaje się oczekiwać skutku, przystępuje doń z pomieszaniem i podając mu pieniądz: Racz pan, rzecze drżącym głosem, przyjąć znaleźne, obok wynurzenia serdecznéj wdzięczności, jaką mam dla niego za powrócenie mi téj bransolety, będącéj drogą pamiątką familijną.—O i owszem, odrzecze nieznajomy,

oddam te pięć rubli na Instytut moralnie zaniedbanych dzieci; teraz zaś, kiedyśmy się ułatwili z bransoletą, zechcesz pani zwrócić mi moję tabakierkę.—Jaką tabakierkę?.. krzyknęła przerażona.—Tę, którąś mi wyjęła z kieszeni przedonegdaj w kościele Karmelitów na Lesznie.—Ja nie wiem o żadnej tabakierce, zawołała, załamując ręce; miéj pan wzgląd na biedną dziewczynę! —Nie zapieraj się panna, zawołał groźnie stary i nie udawaj niewiniątka, tu żadne wykręty nie pomogą, gdyż bransoletkę, którąś przyznała za swoję, znalazłem w własnej mojéj kieszeni, w zamian tabakierki, którąś z niéj wyjęła. Bóg sam chciał, ażeby zły twój czyn się nie utaił, nie wiedziałem bowiem, gdzie złodzieja szukać, aż tu samaś mię ogłoszeniem na trop wprowadziła.—Ja nie wiedziałam, gdziem ją zgubiła, rzekła, tracąc przytomność i zalewając się łzami, tak panie! przyznaję się, ja to wzięłam twoję tabakierkę, mówiła dalej, padając mu do nóg, ale miéj litość nademną!... widzę w tem palec Boży i przyrzekam poprawę, ale niechaj hańba nie spada na siwą głowę mej matki; bo ja panie, mówiła szlochając, mam starą matkę, któréj jestem jedyną nadzieją i podporą, a onaby tego nie przeżyła... Ulituj się więc panie! i nie rób dwóch istot nieszczęśliwemi!..

Stary jegomość walczył długo z sobą, pokonany wreszcie jéj łzami i wzruszeniem własnego serca: Wstań, rzekł, młoda grzesznico... na ten jeden raz przebaczam ci, przez wzgląd na starą twą matkę, ale czuwać będę nad tobą i jeżeli dojdzie do mojéj wiadomości cokolwiekbądź złego o tobie, to będę wtedy bez miłosierdzia; tem mniéj bowiem postępek twój zasługuje na litość, że nie widać u ciebie nędzy, któraby cię choć w części usprawiedliwiła, i choć lękam się, czy za dostatek, który cię otacza, nie należałoby ci się rumienić.

Mówiąc to nieznajomy, patrzył badawczo w twarz dziewczęcia, która na te słowa oblała się purpurą; upadła nieboga na krzesło i zakryła twarz dłońmi, a łzy rzęsiste dobywając się kroplami zpomiędzy palców, błyszczały jak poranna rosa na kwiecie; wreszcie bolesne łkania wydobyły się z jéj piersi. Po chwili utuliwszy się nieco w żalu, panie, rzekła, po tem, co zaszło, masz prawo czynić najgorsze przypuszczenia, ale dzięki Bogu, tak nie jest; to, co tu widzisz, są to zabytki lepszej przeszłości. W dzieciństwie przywykłam była do świecideł i klejnotów, widok ich od chwili, kiedy ze zmianą naszego położenia odmawiać ich sobie zostałam przymuszoną, wprawiał mię zawsze w jakiś obłęd, w umyśle moim powstawała natychmiast niepojęta jakaś żądza przywłaszczenia ich sobie, zły duch zdawał się szeptać mi do ucha: spróbuj, zobaczysz, że ci się uda. Długie z sobą w sumieniu mem staczałam walki i wychodziłam z nich zwycięzko; onegdaj dopiero, niezdolna oprzeć się pokusie, posunęłam się po raz pierwszy do kradzieży. Po jéj spełnieniu wybiegłszy z kościoła, opamiętałam się dopiero, żałowałam prawie, że mi się zamiar tak dobrze powiódł; powodzenie byłoby mię może na dalsze popchnęło bezdroża, ale Bóg dobry nie chciał widać mej zguby, kiedy w tak dziwny sposób odkrył na razie mój występek.

Wypadek ten otworzył mi oczy; teraz poznaję, do czegoby mię niepohamowana żądza błyskotek doprowadzić mogła, i dziękuję Bogu za niego, tem więcéj, gdyś ty panie! okazał się tak miłosiernym, iżeś mi występnéj przebaczył. I ucałowała z rozrzewnieniem rękę starego, który słuchał jéj z politowaniem.

Z dalszéj rozmowy dowiedział się on, że młode to dziewczę było córką b. urzędnika celnego, który przed kilką umarł laty, pozostawiając wdowę i sierotę, z niewielką wysłużoną emeryturą, i poznał ze zdziwieniem, że była córką jednego z dawnych jego przyjaciół i kolegów szkólnych. Jakże wówczas wdzięcznym był sobie, że nie poszedł za pierwszym popędem słusznego oburzenia i nie oddał jéj w ręce sprawiedliwości, która jest i być musi w karaniu występków nieubłaganą.

Pomny na dawne stosunki przyjaźni wiążące go z nieboszczykiem, nie mając przy tem żadnych innych obowiązków, postanowił czuwać nad córką przyjaciela. Zrobiwszy znajomość z jéj matką, przed którą wszakże przewinienie córki zataił, zajął się kształceniem jéj umysłu i serca. Dobrym przykładem, doborem książek, zbawienną nauką i radami tyle z czasem dokazał, iż młody jéj umysł, rozwinął się w pożądanym kierunku, że pojąwszy, iż godność niewieścia nie zależy na błyszczeniu w świecie, ani na świetnych strojach, lecz na wypełnianiu swych obowiązków i spełnianiu chrześciańskich cnót, przetworzyła się moralnie i dziś mogłaby być przykładem dla niejednéj ze swych rówienniczek.

Z przygody téj, możecie się przekonać mili czytelnicy, jak są niezbadane drogi Opatrzności, że oraz nigdy się długo złe nie utai, i że żal szczery i poprawa mażąc nasze winy, uczynić nas mogą godnymi Jéj względów.

POMNIK

KSIĘDZU AUGUSTYNOWI KORDECKIEMU

Przeorowi OO. Paulinów.

Dajemy wierny przerys pomnika, jaki z woli Najwyższéj stanął w Częstochowie dla Księdza Augustyna Kordeckiego, sławnego Przeora Zakonu księży Paulinów, który odwagą i poświęceniem obronił kościół i klasztor ten od napadu wojsk szwedzkich za panowania króla Jana Kazimierza.



Objaśnienie rysunku.

Na podstawie krenelowanéj albo zębatéj, przedstawiającéj jakby *kształt* murów fortecznych, zatknięte są u stóp piedestału na narożnikach cztery tarcze herbowe rycerzy, którym powierzono obronę różnych punktów fortecznych, jakoto: na pierwszym lewym od frontu Stefana Zamojskiego, herb *Róża*; na drugim prawym od frontu Piotra Czarnieckiego i Muszyńskiego, herb *Łodzia*; na trzecim Mikołaja Krysztoporskiego, herb *Nowina* albo *Złotogoleńczyk*; na czwartym Jana Skórzewskiego, herb *Ogończyk*. Tarcze rzeczone w takich pozycyach stoją, w jakich obrońcy owi walczyli na murach podczas oblężenia.

Pomiędzy temi czterema tarczami herbowemi rzucone są podwójne wieńce z *Lauru* i *Lilii*, jako godła męztwa stanu rycerskiego i duchownego. Nad niemi wznosi się na ścianie obraz Matki Boskiéj Częstochowskiéj w płaskorzeźbie. Cztery ściany pomnika są zapełnione napisami, i tak z prawéj strony będzie napis:

Najjaśniejszy Aleksander IIgi Cesarz Wszech Rossyi, Król Polski, Wielki Książę Finlandzki etc. etc. etc. w r. 1859 pomnik ten wystawił.

Z frontowéj ściany: *Księdzu Augustynowi Kordeckiemu Przeorowi.*

Z lewéj: *Wsławionemu obroną Jasnéj-Góry w r.* 1655 *w wojnie Szwedzkiéj.*

Na tylnéj nakoniec ścianie: *Urodzonemu w Iwanowicach w r.* 1604, *zmarłemu w r.* 1672.

Na samym szczycie wznosi się statua X. Kordeckiego.

—

Krata żelazna otaczająca u dołu pomnik naśladuje broń ówczesną szwedzką, w ten sposób, iż ułożenie pik i halabard tworzy jakoby ogniwa jednego łańcucha.

—

Dla oznajomienia czytelników naszych, jak wielkie położył Ksiądz Kordecki zasługi, dajemy poniżéj opowieść, która treściwy przedstawia obraz oblężenia i obrony klasztoru Jasno-Górskiego.

—

Pokój z obrazkami.

I.

—

W jednéj z kamienic Starego-miasta w Warszawie, na trzeciém piętrze od rynku, mieszkał już sędziwy pan Stanisław Dąbrowa, zwany przez przyjaciół na przemiany to Sandomierzakiem, dlatego, że w 1809 roku był między pierwszymi, co wdarli się na szańce Sandomierza, i zdobyli go na Austryakach, to *Cyceronem*, albowiem póżniéj wracając do ulubionego zajęcia w młodych latach, był profesorem w szkołach i wykładał język łaciński. Kiedy wyszedł z wojska, i obejrzał się po szerokim świecie, smutno mu się zrobiło. Rodzice pomarli, majątku żadnego nie zostawili, a z wojaczki kilkoletniéj wyniósł tylko krzyż, jako nagrodę męztwa i podarty mundur. W szkołach za życia rodziców, z zapałem oddawał się literaturze łacińskiéj i ten język gruntownie posiadał; nie zakładał więc rąk daremnie, złożył examin i otrzymał patent na profesora tego języka. Odetchnąwszy po trudach wojennych, z całym zapałem oddał się nowemu zawodowi, ożenił się i dwoje dziatek uweseliło skromny domek. Ale Bóg zsyła krzyżyki na tych, których nawet kocha, co zasługują życiem uczciwem i pracowitem na Jego świętą opiekę. Kiedy cieszył się wraz z żoną, że tak pięknie dziatki wyrastają, w jednym tygodniu syn i córka pomarli, a wkrótce za nimi i sama matka a przywiązana małżonka przeniosła się na wieczny spoczynek. Cios ten, trzymającego się krzepko p. Dąbrowę, złamał; pochowawszy na cmentarzu najdroższe skarby swego serca, w parę tygodni tak się zmienił, że go przyjaciele ledwie poznać mogli. Osiwiał jak gołąb', na czole wzniosłem i tyle lat gładkiém troska wyorała głębokie bruzdy, zbladł na twarzy, a gęste zmarszczki okryły czerstwe dotąd oblicze. Z prosto trzymającego się zawsze mężczyzny, zachowującego postać żołnierską, zrobił się starzec zgarbiony i pochylony. Nie mógł płakać, to też zgryzota, smutek, ból serca wybił się na jego włosy i pobielił, na czoło i oblicze, które wybledził i zmarszczkami starości pokurczył. Nieraz po całych dniach siedział stulony, w swojém dużém krześle, słowa nie wyrzekłszy. Stary wiarus Wojciech, co razem z wojska wyszedłszy, służył od lat wielu p. Dąbrowie, co wykołysał dwoje aniołków jak nazywał, i wyhuśtał na swoich rękach, chodził tylko po pokojach, niby uprzątał, a zcicha łkał, i ocierał łzy spadające na siwe wąsy.

Rozmyślał długo poczciwy sługa, jakby znieszczęśliwego pana dobyć chociaż słówko rozmowy, choćby łzę jednę z oka. Ale starania jego były daremne. Aż raz w niedzielę jak usłyszał dzwon od Fary na Mszę poranną, zaczął żywiéj się krzątać, wreszcie zebrawszy całą odwagę, stanąwszy przed panem, rzekł z namarszczonėm czołem:

— Czy pan porucznik nie pójdzie na Mszą świętą?

— A dobrze, odrzekł pan Dąbrowa, podaj mi mundur i pałasz.

Staremu Wojciechowi szczotka, którą trzymał, z ręku wypadła.

— Jezu Chryste, co pan gada? Gdzie mundur, jaki pałasz—toć z naszych mundurów i strzępów niema!

A mówiąc to, tak się rozbeczał, że pan Dąbrowa długo patrząc zamglonemi oczyma, wkońcu w głos się rozpłakał.

Wojciech ujrzawszy to, ukląkł u nóg jego i łkając, mówił:

— Płacz! płacz moje złote panisko, to duszy i sercu ulży. Łzy, to panie święta rosa na suchą ziemię!

Prawdę powiedział stary wiarus, bo odtąd jakoś pan Dąbrowa orzeźwiał nieco, a gdy w kącie ujrzał płaczącego, zacierał ręce jakby z radości i mruczał sobie pod nosem: *pożyjemy, jak się dobrze wypłaczemy.*

Dla większéj rozrywki pana, zaczął sprowa-

dzać częściéj małego Adasia syna szewca z pobliskiéj kamienicy i Józia, co był w terminie u stolarza; obaj ci chłopcy bawili się dawniéj nieraz ze zmarłemi już dzisiaj dziećmi pana Dąbrowy. Ten od lat kilku otrzymawszy wysłużoną emeryturę, rzadko z domu wychodził; przyjaciele widząc tak wielki jego smutek, czekali aż orzeźwieje nieco po tylu stratach. Rad był więc, gdy stary Wojciech wieczorem zwabił chłopców, co go rozrywali przytomnemi odpowiedziami, a nieraz i dziecinnym dowcipem.

Pan Dąbrowa przerzucając w kantorku papiery swoje, ujrzał oddawna zbierany piękny zbiór rycin polskich. Szczęśliwą myślą wiedziony, znając sztukę introligatorską, postanowił dla rozrywki w samotności pooprawiać je za szkło i ściany swego mieszkania niemi ozdobić.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia, stary Wojciech z radością uważał, że pan jego w smutku się swoim dźwigał ufnością w Bogu, orzeźwiał, i chętniéj brał się do pracy. Już nie siedział milczący po całych godzinach ze spuszczoną głową, ale przeglądał to papiery, to ryciny zachowane w kantorku i dużéj komodzie. Przybory introligatorskie stały na stoliku; każdego dnia po wysłuchaniu Mszy świętéj, zabierał się zaraz do roboty, i albo książki swoje oprawiał, albo sztychy i ręczne rysunki za szkło osadzał dla zawieszenia na ścianie. Była właśnie sobota ostatnia przed Bożem Narodzeniem, mróz był silny, śnieg dobrze przysypał, na mieście ruch sanek wielki. Pan Dąbrowa powróciwszy z kościoła, jakoś swobodniejszy zaczął chodzić po pokoju szerokim krokiem, i coś nucił pod nosem. Była to pierwsza oznaka dobrego humoru. Stary Wojciech uprzątając w drugim pokoju, spoglądał nieznacznie na pana, uśmiechał się i mówił sobie:

— Ha! dzięki Bogu, odżyliśmy, będzie nam weseléj choć sierotom — i na to wspomnie smutnie westchnął i opuścił głowę na piersi.

— Wojtuś! zawołał pan Dąbrowa, a stary wąsacz wstrząsł się z radości, bo to był dawny radosny jego odzew. Stanął więc przed panem, a ten mu rzekł:

— Jutro święta niedziela, zaraz po mszy jak wrócimy, sprowadź tu naszych chłopców; mam im śliczny obrazek pokazać.

Adaś i Józio uwiadomieni wieczorem przez starego Wojciecha o poleceniu pana, skakali i klaskali z radości w ręce. Towarzysze ich młodzi z warsztatu tak szewczyki jak stolarczyki zastrzegli sobie wcześnie, aby im wiernie wszystko opowiedzieć, co zobaczą i usłyszą u pana profesora.

Obaj chłopcy, wróciwszy rano z kościoła, już wyglądali w sieni, rychło pan Dąbrowa z Wojciechem ze mszy iść będzie; jakoż ujrzawszy ich, schowali się za schody, żeby ukryć swoję niecierpliwość. Niedługo Wojciech zawołał ich do pana. Kiedy stanęli w pokoju i powitali pana Dąbrowę, ten im pokazał naprzód klasztor i kościół Częstochowski zwany Jasną-górą, cały otoczony grubemi murami, a potem wyjął z teki śliczny rysunek robiony farbami. Na jego widok, obaj chłopcy, wraz ze starym wąsaczem wydali okrzyk zadziwienia.

Na jasnym błękicie niebios, taż sama Jasnagóra z kościołem i klasztorem była wznosiła swoje wieże, ale mury w kilku miejscach były zrysowane. W jednym wyłomie, stał jakiś ksiądz, trzymając w lewej ręce chorągiew, na której był wizerunek Matki Boskiéj, w prawej wznosił krzyż mały z ukrzyżowanym Chrystusem. Obok stała szlachta to strzelająca z rusznic, to z szablą dobytą, z dział na murach kościelnych celowali zakonnicy, wszyscy w białych habitach z brodami. Na te mury darły się po drabinach jakieś straszne postacie w czerwonych mundurach, z wściekłemi obliczami, zapalonemi oczyma, jedni drugich podpierając i nagląc, wszyscy to szable trzymali w zębach, to w ręku topory, a niżej rozwijał się obóz i armaty, które ciągłym ogniem posyłały kule palące na święty kościół. Dym czarny, gęsty pokrywał tak stojące wojska na dole, jako też część murów i klasztoru Jasno-górskiego.

Stojący ksiądz na wyłomie z chorągwią i krzyżem w ręku, nie patrzył na wdzierających się strasznych ludzi, krwią ociekłych i zbroczonych, w czerwonych mundurach, ale miał oczy zwrócone w niebo, jakby ztamtąd czerpał odwagę dla garstki wiernych obrońców i ztamtąd oczekiwał pomocy i ratunku.

A wysoko, na niebieskiém tle nieba, na jasnej chmurce spływała postać święta Boga-rodzicy, ponad ulubione sobie siedlisko i płaszcz niebieski rozwijała nad kościołem Częstochowskim, jako tarczę od pocisków zajadłej tłuszczy. Swietny promień jasności niezwykłej spadał na czoło owego księdza, stojącego w wyłomie z krzyżem i chorągwią w rękach.

Chłopcy i stary wojak nie mogli oderwać oczu od tego obrazu. Pan Dąbrowa dawszy im dosyć czasu do przypatrzenia się, rzekł po chwili:

— To kościół z klasztorem Częstochowskim na Jasnej-górze, gdy do niego szturmują bezbożne szwedy, a ten ksiądz z chorągwią i krzyżem, to przeor Paulinów ksiądz Augustyn Kordecki!

Pamiętajcie chłopcy to imie, bo takiemi ludźmi każdy naród chlubić się może. Świętyto był człowiek, pobożny zakonnik, a waleczny i odważny jak żołnierz.. to Augustyn Kordecki! Posłuchajcie o nim; długa to historya, ale ciekawa, Innym razem opowiem wam o początku i założeniu tego świętego miejsca, teraz objaśnię obrazek.

Zygmunt IIIci Król Polski Wielki Książę Litewski, co stoi na słupie na Krakowskiém-Przedmieściu, miał kilkoro dzieci, między temi dwóch synów: wielkiego wojownika Władysława IV, który po nim panował, i ten ojcu w Warszawie posąg postawił, i młodszego Jana Kazimierza, co po bracie wstąpił na tron. Owóż ten Władysław IV, jakby przeczuciem a natchnieniem Bożém wiedziony, ufortyfikował klasztor Częstochowski, dawne mury wzmocnił, nowe wystawił, cztery baszty zmurował, a mury ziemią okrył przed kulami armat. Jan Kazimierz co brakowało, dokończył, i klasztor już był dość na owe czasy obronną fortecą, gdy wojna Szwedzka wybuchła.

Nadchodzą teraz święta Bożego Narodzenia, rok pański 1857; w samą *wigilją* będziem mieli rocznicę ostatniego szturmu najstraszniejszego, jaki szwedy wymierzyli na ten gród święty. Minie w ten rok 201 lat okrągło. Pamiętajcie o tym dniu chłopcy, bo to dzień radosny dla wszystkich polaków, dzień wielki narodzenia Chrystusa Pana, i cudowna obrona Częstochowy, ulubionego miejsca Boga-Rodzicy, a patronki i opiekunki naszéj. Oto na białym obłoku spływa jak siwy gołąbek ponad gród święty, a Kordecki widzi postać Matki Bożéj, i upadającą odwagę ludzką Boskim zapałem krzepi. Patrzcie; to nasza orędowniczka i pocieszycielka strapionych!

Pan Dąbrowa wyrzekł te słowa wielce wzruszonym głosem, a gdy ukazał postać Matki Najświętszéj, Wojciech się pierwszy przeżegnał, a za nim Adaś i Józio.

Karol Gustaw Król Szwedzki ur. 1655 bez wypowiedzenia wojny napadł Polskę. Władysław IV już nie żył, a brat jego nieszczęśliwy Jan Kazimierz, musiał uchodzić z Warszawy do Krakowa. Ale w téj staréj stolicy królów Polskich nie mógł długo bawić, bo zwycięzkie chorągwie szwedzkie następowały. Kiedy Bóg chce kogo ukarać, to mu wprzód rozum odbierze. Tak było i z naszym narodem: Bóg mu rozum odebrał, bo wśród niedoli całego kraju, zaczęło wojsko i szlachta odstępować swego króla, a lgnąć i przystawać do Szweda. W Krakowie został na obronę wielki swego czasu wojownik i większéj cnoty polak *Stefan Czarniecki* Król opuścił Kraków, a przybywszy do wsi Mogielany za Wisłę, z wyniosłéj góry ujrzał z boleścią, jak gorzały przedmieścia téj stolicy dawnéj. Zapalić je kazał sam Czarniecki, ażeby pod ich zasłoną nieprzyjaciel nie mógł się bezpiecznie ukrywać i podsuwać pod miasto. Król wraz z królową Maryą Ludwiką patrzał ze łzami na ten straszny pożar i ognistą łunę, co szeroko i daleko przyświecała wokoło. Z małą liczbą wiernych panów i dworzan, poszedł na tułaczkę w obce ziemie. Czarniecki długo się bronił w Krakowie, ale gdy wszystkie prawie rycerstwo polskie przeszło na stronę Szweda, gdy wyczerpał wszelkie środki obrony, poddał miasto, z warunkiem, że wyjdzie zbrojno i zajmie oznaczone stawisko, nie podnosząc oręża przeciwko królowi Szwedzkiemu. Wszedł dumny zwycięzca w mury starożytnéj stolicy królów polskich, i zaraz dał się uczuć uciskiem i grabieżą.

Ciekawy zobaczyć groby królów polskich, zapowiedział swe odwiedziny w katedrze Krakowskiéj—stoi ona na górze zwanej *Wawelem* wraz z zamkiem królewskim. Był wtedy kanonikiem sędziwy już w latach, a znakomity nauką mąż Szymon Starowolski; ten oprowadzał po kościele dumnego Karola Gustawa.

Trzeba wam wiedzieć moje chłopcy, że w téj ślicznéj katedrze, jest najdawniejszy ze wszystkich grób Władysława Łokietka, co kilka razy ustępował z kraju, wracał, aż w ostatku, przetrwawszy złe losy, zwyciężywszy nieprzyjaciół, połączywszy w jednę całość rozszarpane części Polski, zostawił ją potężną i szanowaną synowi swemu Kazimierzowi Wielkiemu, zwanemu *Królem Chłopków*, że poczciwym ludem król ten szczególniéj się opiekował. Owóż stanąwszy

przy tym nagrobku Władysława Łokietka Starowolski, rzekł:

— Oto jest grób króla, co po trzykroć wygnany z kraju wracał, zasiadł na tronie, na ńim umarł, i jako wielki monarcha spoczywa na Wawelu.

— Ale wasz Jan Kazimierz, odrzekł dumnie król Szwedzki, uderzając po rękojeści pałasza, którego mocą oręża wypędziłem z Polski, już pewnie więcej nie wróci i nie zasiądzie na tronie.

— W ręku Boga spoczywają losy narodów i królów, odpowiedział na to Starowolski. Te słowa sędziwego kapłana wielkie wrażenie zrobiły na Karolu Gustawie; zdjął kapelusz, który miał na głowie, chociaż był w kościele, słowa więcej nie wyrzekł, i z uszanowaniem spoglądał na inne pomniki grobowe królów polskich.

Po wzięciu Krakowa cała Polska ukorzyła się przed nim, jedna tylko Częstochowa, mając 72 zakonników, sto kilku żołnierzy i drugie tyle szlachty okolicznej, co przed łupieztwem szwedów, szukała osłony w warownych murach klasztoru, nie wpuściła jednej nogi szweda. Ale nie uszła ich uwagi. Wiedzieli oni dobrze, jakie skarby ma bogate; wieści pomiędzy ludem, jak zwykle powiększały je jeszcze i łakomstwo szwedzkie. Z korpusu więc jenerała Millera wysłanym został na jéj opanowanie Jan hrabia Wejhard czech rodem, który w r. 1656 nie potrafiwszy podstępnym sposobem pochwycić klasztoru, po czterech dniach szturmu, odstąpił oczekując na przybycie większych sił i armat z samym Millerem. Przybył on w drugiéj połowie listopada, i rozłożył się obozem pod murami Częstochowy.

A bogobojni zakonnicy i zebrana szlachta z trwogą ujrzeli, jak się potężnie wojsko szwedzkie wokoło murów klasztornych rozsiada, zagrażając mu łupieztwem i zniszczeniem. Na żadną pomoc ziemską nie mogli się oglądać: król na wygnaniu, Stefan Czarniecki stać musiał nieczynny z wojskiem swojém w Księztwie Siewierskiem, zaprzysiągłszy do oznaczonego czasu nie walczyć ze szwedami; szlachta wraz z rycerstwem polskiém ukorzona. Każdy był pewny, że lada chwila dumnym zwycięzcom otworzą bramy warowne Częstochowy, i z kornem czołem przyjmą podawane warunki. Bóg opiekujący się losami narodów inaczéj w swéj mądrości najwyższéj rozporządził, bo postawił na czele zgromadzenia Paulinów na Jasnej-górze przeorem Kordeckiego, który ufny tylko w pomoc patronki naszéj Boga-Rodzicy, pomny na stare ojców przysłowie: Boga wzywaj, a ręki przykładaj, ośmielił się postawić opór zwycięzkim dotąd chorągwiom szwedzkim. On to swoim przykładem, poświęceniem zagrzewał wszystkich ufnością w pomoc Boską, pokrzepiał upadłych na duchu, a mężną Częstochowy obroną rozgrzał zastygłe serce narodu, ocucił myśl poniżoną zwycięztwami szwedzkiemi, zachęcił do nowéj walki z wrogiem dumnym, łupieżnym, który nie znał żadnych granic w powodzeniu swojém, i doczekał się niedługo dni jasnych i pogodnych, w których cały naród po wielkich klęskach odetchnął swobodnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Od Redakcyi.

I. Złożono w Redakcyi Czytelni, nadesłane przez Wgo Ignacego Swięcickiego, z gubernii Podolskiéj, powiatu Olgopolskiego, ze wsi Wójtówki, przy liście daty 7 marca r. b. dla Siosty Klary w Sulejowie. rs. 26

Od Wgo A. W. z Petersbuga, przy liście z dnia 26 marca (7 kwietnia) r. b. . rs. 10

Od Wgo Z. Cz. obywatela z Podola przy liście z dnia 3 (15) kwietnia r. b. . . . rs. 25

Razem rs. 61.

Summy te wypłacone zostały Siostrze Klarze do rąk własnych dnia 30 kwietnia r. b.

Nadto złożono w téjże Redakcyi w dniu 16 (28) marca r. b. przez W. Aleksandra Ł... summę rs. 75, przeznaczoną przez składającego na fundusz *pożyczkowy'* przy Redakcyi Czytelni istniejący, dla niezamożnych lub podupadłych rzemieślników.

W druk. J. Ungra. Wolno drukować. Warszawa dnia 28 kwietnia (10 maja) 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.